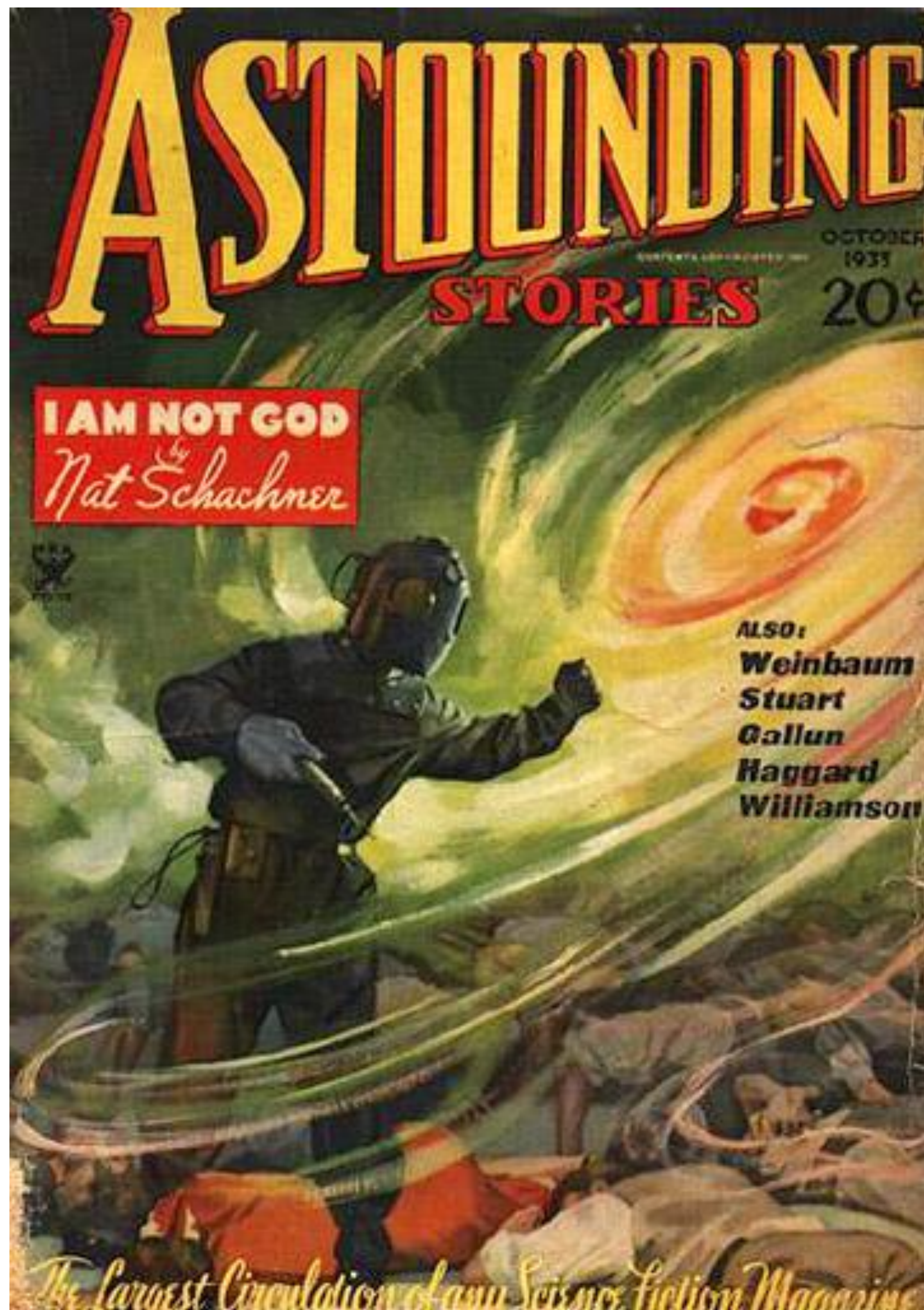

ASTOUNDING
STORIES
OCTOBER
1935
20¢
I AM NOT GOD
by
Nat Schachner
ALSO:
Weinbaum
Stuart
Gallun
Haggard
Williamson
The Largest Circulation of any Science Fiction Magazine

Stanley G. Weinbaum

Planeta wątpliwości

(The Planet of Doubt)

Astounding Stories, October 1935
Ilustracja na okładce: Howard V. Brown
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

I

Hamilton Hammond drgnął nerwowo, słysząc dobiegający gdzieś z tyłu, spoza swojego stanowiska, głos Cullena, chemika ekspedycji.

– Coś widzę! – zawołał tamten.

Ham nachylił się nad portem widokowym w podłodze, wpatrując się w wieczystą zielonoszarą mgłę, szczelnie otulającą Urana. Pośpiesznie rzucił okiem na tarczę elektrycznego wskaźnika położenia pionowego. Pięćdziesiąt pięć stóp, jak twierdził tamten, z pewnością siebie, ale było to wrażenie fałszywe, ponieważ wskazywał on tę samą wartość, w czasie całego, liczącego sto sześćdziesiąt mil, ostrego zejścia ku powierzchni planety. To sama mgła odbijała fale przyrządu.

Barometr pokazywał 86.2 cm. To również była niezbyt wiarygodna podpowiedź, ale lepsza niż w przypadku wskaźnika położenia, ponieważ nieustraszony Young, cztery dekady temu, w 2060, podczas swojego romantycznego wypadu z Tytana na południowy biegun pokrytej chmurami planety, również zanotował ciśnienie atmosferyczne na poziomie 86. Ale *Gaja* schodziła obecnie ku przeciwległemu biegunowi, czterdzieści pięć tysięcy mil od miejsca lądowania Younga, i nikt nie wiedział, jakie bezdenne przepaście, czy potężne szczyty górskie, mogą spowodować, że wskazania ciśnienia staną się kompletnie bezużyteczne.

– Nic nie widzę – wymamrotał pod nosem Ham.

– Ja również – przyznała jego żona, Patricia Hammond –– lub bardziej oficjalnie, biolog ekspedycji *Gai*, zorganizowanej przez Smithsonian. – Zaraz… tak! Coś tam się poruszyło! – Zaczęła przyglądać się bliżej. – W górę! W górę! – wrzasnęła z całej siły. – Ciągnij w górę!

Harbord był niezłym astrogatorem. Nie zadawał żadnych pytań, nie ruszył nawet wzroku ze swoich przyrządów. Po prostu walnął w przepustnicę, dolne silniki zaryczały w potężnym crescendo, i silny ciąg w górę wcisnął wszystkich mocno w podłogę.

Zdążyli w ostatniej chwili. Potężna, szara fala wody przemknęła zwinnie pod portem, tak blisko, ze jej grzebień został przeorany przez płomienie odrzutu, a rozpylone krople pokryły mgiełką szybę iluminatora.

– Whew! – zagwizdał Ham. – To było blisko. Za blisko. Gdybyśmy jej dotknęli, to z pewnością rozwaliłoby nam silniki. Są rozgrzane do białości.

– Ocean! – z niesmakiem stwierdziła Patricia. – Young informował o lądzie.

– Taaa, czterdzieści pięć tysięcy mil stąd. O ile mi wiadomo, to morze mgieł jest bardziej rozległe niż cała powierzchnia Ziemi.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, marszcząc brwi.

– Myślisz – spytała go, – że ta mgła, tutaj na dole, wszędzie dochodzi do samej powierzchni?

– Young tak twierdził.

– Ale na Wenus, chmury formują się jedynie w punktach węzłowych, krzyżowania się wiatrów na dużej wysokości i powierzchniowych.

– Tak, ale Wenus położona jest bliżej Słońca. Tutaj ciepło jest bardziej równomiernie rozłożone, ponieważ Słońce praktycznie nie liczy się, jako jego źródło. Większość powierzchni ogrzewana jest energią cieplną przenikającą z wnętrza planety, podobnie jak to dzieje się na Saturnie i Jowiszu, tylko ponieważ Uran jest mniejszy, jest więc również chłodniejszy. Jest na tyle zimny, aby mieć stałą skorupę, zamiast stopionej i płynnej, tak jak większe planety, no i jest znacznie chłodniejszy niż wenusjańska strefa zmierzchu.

– Tyle że – sprzeciwiła się, – Tytan jest zimny jak dziesięć Syberii, a mamy tam do czynienia w wiecznym huraganem.

Uśmiechnął się szeroko.

– Próbujesz zagonić mnie w kozi róg? To nie temperatura bezwzględna powoduje powstawanie wiatrów –– to różnica temperatur, pomiędzy jednym miejscem a drugim. Jedna strona Tytana jest przez cały czas ogrzewana przez Saturna, a tutaj ciepło jest rozproszone równomiernie, czy też praktycznie równomiernie, ponieważ przenika ono z wnętrza.

Nagle spojrzał na Harborda.

– Na co czekamy? – spytał go.

– Na ciebie – chrząknął astrogator. – Ty tu teraz dowodzisz. Moje dowodzenie kończy się z chwilą, kiedy dojrzymy powierzchnię, a właśnie przed paroma chwilami, to się stało.

– On ma rację, u licha! – zawołał Ham pełnym satysfakcji tonem. Podczas ostatniej ekspedycji, na nocną stronę Wenus, technicznie znajdował się pod rozkazami Pat, i to odwrócenie ról, bardzo mu się spodobało. – A teraz – poważnie oznajmił, – jeżeli pani biolog uprzejmie raczy się odsunąć…

Patricia prychnęła.

– A więc, to niby ty miałbyś nas poprowadzić? Założę się, że nie masz zielonego pojęcia, w którą stronę.

– Ależ mam. – Zwrócił się do Harborda. – Na południowy wschód – polecił, i tylne silniki dodały swoje głosy do ryku pozostałych. – Wejdź na trzydzieści tysięcy metrów – mówił dalej, – moglibyśmy władować się na jakieś góry.

Gaja, nazwana tak od starożytnej ziemskiej bogini, która była żoną boga Urana, zanurkowała w nieskończone morze mgieł, odchodząc od bieguna planety. Pod pewnym względem, ten biegun był czymś unikalnym pośród całej rodziny słonecznej, ponieważ Uran nie obraca się w sposób podobny, jak robią to Jowisz, Saturn, Mars lub Ziemia, wirując wokół mniej więcej pionowej osi, ale porusza się podobnie do toczącej się piłki. Jego bieguny położone są w płaszczyźnie orbity, tak że w jednym jej krańcu, w stronę Słońca zwraca się biegun południowy, podczas gdy czterdzieści dwa lata później, po pokonaniu przez Urana połowy drogi po

jego gigantycznej trajektorii, po słonecznej stronie znajduje się biegun przeciwny.

Cztery dekady wcześniej, Young wylądował na biegunie południowym. Minie jeszcze kolejnych czterdzieści lat, zanim tamten biegun ponownie zobaczy południe.

– Problem z babami – gderał Harbord, – polega na tym, że zadają za wiele pytań.

Patricia obróciła się w jego stronę.

– Schopenhauer! – wysyczała. – Powinieneś być wdzięczny, że córka Patricka Burlingame użyczyła swojej pomocy, tej waszej jankeskiej ekspedycji!

– Taaa? Ale dlaczego Schopenhauer?

– On był wrogiem kobiet, co nie? Dokładnie tak samo jak ty!

– A więc był znacznie większym filozofem, niż myślałem – chrząknął Harbord.

– Tym niemniej – odgryzła się zjadliwie, – parę milionów dolarów, to sporo forsy, jak za milę kwadratową zamglonego pustkowia. Nie połkniecie tej planety, tak jak próbowaliście połknąć Wenus.

Piła oczywiście do decyzji Rady Berneńskiej z 2059, mówiącej że sam fakt wylądowania jakiegoś odkrywcy na danej planecie, nie dawał jego państwu praw do posiadania całej tej planety, a jedynie części rzeczywiście przebadanej. Na otulonym mgłą Uranie, taka część rzeczywiście byłaby raczej niewielka.

– Mniejsza z tym – wtrącił się Ham. – Żaden inny naród nie będzie się sprzeciwiał, jeżeli Ameryka zażąda tej całej kuli mgły, ponieważ żaden inny naród nie ma bazy położonej dostatecznie blisko, aby się tutaj dostać.

Była to prawda. Dzięki posiadaniu Tytana, jedynego nadającego się do zamieszkania księżyca Saturna, Stany Zjednoczone były jedynym państwem, które mogło wysłać rakietę eksploracyjną na Urana. Bezpośredni lot z Ziemi, nie wchodził w grę, ponieważ najmniejsza odległość tych dwóch planet, wynosiła 1 700 000 000 mil. Loty musiały być wykonywane w dwóch etapach: najpierw na Tytana, a następnie na Urana.

Te warunki jednak drastycznie ograniczały częstotliwość możliwych wizyt, ponieważ o ile Saturn i Ziemia, są w koniunkcji, w odstępach nieco ponad rocznych, to Uran i Saturn są w koniunkcji jedynie raz na około czterdzieści lat. Tylko w tych okresach możliwe jest dotarcie na tę olbrzymią, tajemniczą, okrytą całunem mgły, planetę.

Uran położony jest tak niezmiernie daleko, że odległość do jego najbliższego sąsiada, Saturna, jest prawdę mówiąc, znacznie większa, niż łączna odległość od Saturna do Jowisza, od Jowisza do pasa asteroidów, od tych do Marsa i od Marsa do Ziemi. To była dzika, obca, otoczona kurtyną tajemnicy planeta, którą od międzygwiezdnej pustki oddzielały jedynie Neptun i Pluton.

Patricia zawirowała, odwracając się do Hama.

– Ty! – warknęła. – Południowy wschód, co? Dlaczego właśnie południowy wschód? Po prostu na ślepo, co? Mam rację, czy nie?

– Nie – wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Mam swoje powody. Próbuję zaoszczędzić tyle czasu, ile tylko się da, ponieważ długość naszego pobytu tutaj, jest mocno ograniczona, jeżeli nie chcemy pozostać na wygnaniu przez kolejne czterdzieści lat, aż do następnej koniunkcji.

– Ale dlaczego akurat na południowy wschód?

– Powiem ci. Pat, czy kiedykolwiek przyglądałaś się kuli ziemskiej? A więc, może zauważyłaś, że wszystkie kontynenty, wszystkie wielkie wyspy i wszystkie ważne półwyspy, zwężają się coraz bardziej w kierunku południowym? Innymi słowy półkula północna bardziej sprzyja formowaniu się mas lądowych, i tak prawdę mówiąc, dużo większa część lądów na Ziemi, położona jest na północ od równika. Ocean Arktyczny jest niemal otoczony pierścieniem lądów, podczas gdy Antarktyka jest szeroko otwarta. To samo dotyczy również Marsa, zakładając, że jego ciemne, bagniste równiny, są dnem dawnych oceanów. Również w przypadku Wenus możemy przyjąć, że to prawda, jeżeli weźmiemy pod uwagę zamrożone oceany na jej nocnej stronie.

Przerwał na chwilę.

– Tak więc zakładam, że skoro wszystkie planety mają wspólne pochodzenie, oraz wszystkie one stygły w podobnych warunkach, Uran musi mieć rozkład lądów tego samego rodzaju. Ten ląd, który znalazł Young, to odpowiednik naszej Antarktyki. Ten którego ja szukam, powinien otaczać północne morze polarne.

– Powinien, ale wcale nie musi – odcięła się Pat. – A w każdym razie, dlaczego na południowy wschód, zamiast prosto na południe?

– Ponieważ taki kierunek wytycza spiralę, i zmniejsza ryzyko natrafienia na jakąś cieśninę, czy przesmyk między lądami. Biorąc pod uwagę, że widoczność wynosi około pięćdziesiąt stóp, to wcale nie musiałby być jakaś bardzo szeroki przesmyk, abyśmy myśleli, że ciągle jesteśmy nad oceanem.

Rozłożył ręce.

– W tej mgle, to nawet twoja angielska Tamiza, wyglądałaby jak Pacyfik, gdybyśmy zeszli na dół w miejscu oddalonym o jakieś sto stóp od obu jej brzegów.

– A twoja amerykańska Missisipi, pewnie wyglądałaby na powódź Noego – przyznała dziewczyna i zajęła się wpatrywaniem w szarą zasłonę mgły, która wirowała bez końca za portami widokowymi statku.

II

Niecałą godzinę później *Gaja* ponownie rozpoczęła ostrożne i pełne wahania schodzenie na niższy pułap. Na wysokości odpowiadającej ciśnieniu powietrza 85 cm, Ham zwolnił opadanie rakiety, niemal zupełnie zatrzymując ją w miejscu. Dalej schodziła z szybkością kilku cali na minutę, nieustanie miękko podtrzymywana odrzutem spodnich silników.

Kiedy barometr wskazywał 85.8 cm, z rufy odezwał się głos Cullena, gdzie port widokowy mniej był zasłaniany przez same silniki.

– Widać coś pod nami! – zawołał.

Coś tam rzeczywiście było. Mgła wydawała się zdecydowanie ciemniejsza i widać było oznaki i zarysy czegoś. W miarę jak statek powoli opadał, Ham w napięciu wpatrywał się w mgłę, aż w końcu rzucił ostro rozkaz, przygotowania się do lądowania. *Gaja* dotknęła ziemi z lekkim zgrzytem, by w końcu spocząć nieruchomo, na nagiej, szarej, żwirowatej równinie, nakrytej półkulą mgły, która skracała pole widzenia, równie skutecznie jak ściana.

W całej tej rozpościerającej się przed nimi mocno ograniczonej scenerii, było coś dzikiego i obcego. Kiedy silniki umilkły, wszyscy obecni w sterówce wpatrywali się w milczeniu, w zabarwioną na ołowiany kolor ścianę mgły. Nawet Cullen bez słowa podszedł, aby się do nich przyłączyć. W nagłej ciszy, jaka zapadła po wyłączeniu silników, całkowita obcość rozciągającego się na zewnątrz świata, zwaliła się na nich jak ciężar.

Wenus, gdzie urodziła się Pat, również była obcą planetą, ze swoją niewielką nadającą się do zamieszkania strefą zmroku, tętniącymi życiem Tropikami i tajemniczą ciemną stroną. Była to jednak bliźniacza siostra Ziemi.

Mars z kolei, pustynna planeta, z wielką dekadencką cywilizacją, był jeszcze bardziej osobliwy, ale przecież nie całkowicie obcy. Poza nim, na księżycach Jowisza, żyły nieziemskie stworzenia, charakterystyczne dla tych dziwacznych małych planetek, a na zimnym Tytanie, okrążającym Saturna, znaleźć można rozmaite fantastyczne istoty, przystosowane do tego dzikiego i pokrytego lodem satelity.

Ale Uran był prawdziwą planetą, będącą co najwyżej w połowie rodzeństwem dla małych planet wewnętrznych, i co najwyżej kuzynem dla maleńkich satelitów. Był tajemniczy, słabo spokrewniony, obcy. Nikt w historii nie postawił jeszcze nogi na tej wielkiej planecie, poza śmiałym Youngiem i jego ludźmi, czterdzieści lat temu.

Z tych wszystkich milionów mil kwadratowych powierzchni planety, Young przebadał kilometr kwadratowy terenu, położonego czterdzieści pięć milionów mil od miejsca w którym stali. Cała reszta stanowiła tajemnicę i ta myśl wystarczyła do przytłoczenia, nawet zwykle tak nieokiełznanej Patrici.

Oczywiście nie na długo.

– No cóż – w końcu stwierdziła, – dla mnie to wygląda niemal jak Londyn. Kiedy byliśmy tam ostatnim razem, mieliśmy pogodę dokładnie tego rodzaju. Chyba wyjdę ze statku i zacznę szukać Piccadilly.

– Nie ma mowy, żebyś wyszła na zewnątrz – ostro rzucił Ham. – Najpierw chcę mieć testy atmosferyczne.

– Po co? Young i jego ludzie oddychali tutejszym powietrzem. Wiem, zaraz mi powiesz, że oni byli czterdzieści pięć tysięcy mil stąd. Ale nawet biolog wie, że dyfuzja gazów uniemożliwia, sytuację w której planeta na jednym biegunie ma powietrze innego rodzaju, niż na drugim. Jeżeli atmosfera była bezpieczna tam, to taka musi być również i tutaj.

– Taaa? – spytał powątpiewająco Ham. – Niech ci będzie z tą dyfuzją, ale czy nie przyszło ci może do głowy, że ta kula mgły otrzymuje większość ciepła ze swojego wnętrza? To oznacza aktywność wulkaniczną, a ta z kolei może oznaczać erupcję trujących gazów, gdzieś w pobliżu nas. Każę Cullenowi wykonać test.

Patricia uspokoiła się, obserwując milczącego i skutecznego Cullena, wciągającego do ampułki próbkę atmosfery Urana. Po chwili poruszyła kolanami i spytała:

– Dlaczego grawitacja jest tutaj taka niska? Uran jest pięćdziesiąt cztery razy większy od Ziemi i ma piętnaście razy większą masę, a przecież nie czuję, abym była chociaż trochę cięższa niż w domu. – Mówiąc o domu, Pat oczywiście myślała, o małym pogranicznym miasteczku Venoble, w Krainie Chłodu na Wenus.

– Sama sobie odpowiedziałaś – odparł Ham. – Pięćdziesiąt cztery razy większy niż Ziemia czy Wenus, a tylko piętnaście razy cięższy. To oznacza dużo mniejszą gęstość, dokładniej mówiąc 0.27. Po przeliczeniu daje to grawitację powierzchniową wysokości około dziewięciu dziesiątych ziemskiej, ale coś mi się wydaje, że jest ona niemal równa jeden. Sprawdzimy to później przy pomocy kilogramowego odważnika na wadze sprężynowej, tak by otrzymać dokładną wartość siły ciężkości.

– Możemy bezpiecznie oddychać?

– Idealnie. Gazem obojętnym jest argon, a cała mieszanina nie może być trująca, o ile nie wejdzie w jakieś reakcje chemiczne w ciele.

Pat parsknęła przez nos.

– Widzisz? Przez cały czas było bezpiecznie. Wychodzę na zewnątrz.

– Poczekasz na mnie – warknął. – Za każdym razem, kiedy pobłażałem podobnym twoim beztroskim propozycjom, wpadałaś po uszy w kłopoty. – Sprawdził wystawiony za właz termometr, dziewięć stopni Celsjusza. W domu temperatura późnej jesieni. – Oto przyczyna tej wiecznej mgły – zauważył. – Powierzchnia gruntu jest przez cały czas cieplejsza niż powietrze.

Pat naciągała już na ramiona kurtkę. Ham również szybko się ubrał i zaczął kręcić kołem włazu śluzy. Rozległo się stłumione syczenie i nieco gęstsza atmosfera Urana wdarła się do środka. Ham odwrócił się, żeby porozmawiać z Harbordem, który z wyrazem olbrzymiej satysfakcji na

twarzy, zapalał właśnie fajkę –– przyjemność ściśle zabroniona w kosmosie, ale zupełnie nieszkodliwa teraz, kiedy zapewnione były niewyczerpane zapasy powietrza.

– Będziesz miał na nas oko, dobrze? – poprosił go Ham. – Pilnuj nas przez port, tak na wszelki wypadek, gdyby coś nam się stało i potrzebowalibyśmy pomocy.

– My? – chrząknął Harbord. – Twoja żona już znikła z zasięgu wzroku.

Mamrocząc pod nosem przekleństwa, Ham okręcił się do tyłu. Była to prawda. Zewnętrzny właz śluzy był otwarty i do środka właśnie leniwie zdryfowała przez niego smużka mgły. Ledwie się przemieszczała w niemal całkowicie nieruchomym powietrzu Urana.

– Ta szalona mała… Jest! Tego szukałem!

Złapał pas z dwoma kaburami, z których jedna zawierała standardowy pistolet automatyczny, a druga pistolet energetyczny, zawierający pojedynczy ładunek, o potężnej sile rażenia. Zapiął go gwałtownym ruchem wokół pasa, złapał kolejny pakunek i zanurkował w wieczną mgłę Urana.

Poczuł się dokładnie tak, jakby stanął pod odwróconą miską o zmętniałym srebrzystym kolorze. Przebijał przez nią upiorny zielonkawy poblask, a cały świat wyglądał tak, jakby składał się wyłącznie z metalowego statku za jego plecami i rozciągającego się z przodu pięćdziesięciostopowego półkola. A Pat… Pat nigdzie nie było widać.

– Pat! – wykrzyczał jej imię. Dźwięk był przytłumiony przez zimną wilgotną mgłę, i brzmiał mu w uszach dziwnie głucho. Ryknął jeszcze raz, ponownie najgłośniej jak tylko mógł, a potem zaklął gwałtownie czując olbrzymią ulgę, kiedy przez otaczającą ich szarość przedostała się stłumiona odpowiedź.

Chwilę później pokazała się sama Pat, wymachując poskręcanym, lepkim zielonkawo-szarym organizmem.

– Spójrz tylko! – zawołała tryumfalnie. – Oto pierwszy okaz uranskiego życia roślinnego! Nisko zorganizowany, rozmnaża się przez podział i… o co u diabła ci chodzi?

– O to mi chodzi! Czy nie pomyślałaś, że mogłabyś się zgubić? I jak niby miałaś zamiar wrócić tutaj?

– Kompas – chłodno odparła.

– A skąd wiesz, że on tutaj będzie działać? Możemy być dokładnie na biegunie magnetycznym, jeżeli Uran w ogóle ma coś takiego.

Spojrzała na nadgarstek.

– W zasadzie, jeżeli się temu przyjrzeć, to ten kompas faktycznie nie działa. Igła kołysze się luźno na wszystkie strony.

– Tak, a w dodatku wyszłaś nieuzbrojona. To był najgłupszy ze wszystkich głupich numerów!

– Young raportował całkowity brak życia zwierzęcego, co nie? I, poczekaj chwilkę, doskonale wiem, co masz zamiar powiedzieć. „Czterdzieści pięć tysięcy mil stąd!”

Z oczu wręcz leciały mu iskry.

– Poza tym – warknął, – to nie ty tutaj dowodzisz. Nie wolno ci wychodzić na zewnątrz, bez kogoś do towarzystwa, i macie być związani

liną. – Wyciągnął z kieszeni długi jedwabny sznur i szybko przywiązał jeden jego koniec do pasa Pat, a drugi do swojego własnego.

– Och, nie bądź taki strachliwy! Czuję się jak szczeniak na smyczy!

– Muszę bać się na zapas – odparł ponuro, – kiedy opiekuję się takim lekkomyślnym, nieodpowiedzialnym, beztroskim chochlikiem, jak ty.

Zignorował jej pełne dezaprobaty prychnięcie, i zajął się rozwijaniem przyniesionego pakunku. Wyciągnął amerykańską flagę, a następnie przeszedł do kopania dołka w żwirze, osadzania w nim palika. W końcu formalnie oznajmił:

– Obejmuję w posiadanie tę ziemię, w imieniu Stanów Zjednoczonych Ameryki.

– Całe pięćdziesiąt stóp? – wymruczała Patricia, ale cichutko, ponieważ pomimo wszystko, wbrew swojemu nonszalanckiemu stylowi zachowania, była lojalna w stosunku do kraju swojego męża. Stała po cichu i oboje wpatrywali się we flagę.

Budziła ona w myślach dziwne echa, z miłej niewielkiej planety, położonej niemal dwa miliardy mil stąd. Oznaczała ludzi, przyjaciół, cywilizację –– sprawy które, kiedy tak tutaj stali, na powierzchni tej olbrzymiej, samotnej, tajemniczej planety, wydawały się niesamowicie odległe i niemal nierealne.

Ham otrząsnął się z nostalgicznych rozmyślań.

– No dobrze! – stwierdził. – Teraz możemy rozejrzeć się po okolicy.

Young wskazywał na pewną technikę eksploracji na tej planecie, gdzie odkrywca stał wobec szeregu problemów, z których wszystkie były niemal niemożliwe do rozwiązania.

Ham zacisnął w uchwycie obok śluzy powietrznej, koniec cienkiego stalowego drutu. Na przywiązanej do pasa szpuli miał jego zwój o długości tysiąca stóp. Służył on jako niezawodny drogowskaz, pozwalający na powrót w ciemnościach –– jedyny praktyczny środek w miejscu gdzie tłumione były wszystkie dźwięki, a nawet fale radiowe odbijane były niemal tak zupełnie, jakby przez stojącą na ziemi metalową kopułę. Drut pełnił rolę nie tylko drogowskazu, ale również środka komunikacji, ponieważ pociągnięcie za niego, dzwoniło znajdującym się w rakiecie dzwonkiem.

Ham pomachał do Harborda, którego widać było przez port, palącego fajkę, a następnie wyruszyli. Do wyczerpania swojego ograniczonego limitu czasu, mieli badać Urana w obrębie tysiącstopowych kół, przemieszczając rakietę za każdym razem, kiedy zarejestrowane już zostaną wszelkie szczegóły danego terenu. Kolosalne zadanie. Było dosyć prawdopodobne, jak zauważył w rozmowie z Pat, że ta potężna planeta nigdy nie zostanie w pełni przebadana, zwłaszcza biorąc pod uwagę czterdziestoletni odstęp, jaki musiał upłynąć między kolejnymi odwiedzinami na niej.

– No i zwłaszcza – uzupełniła jego opinię, – jeżeli będą tutaj przysyłać takich bojaźliwych, lepiej-zachować-bezpieczeństwo-niż-potem-żałować, odkrywców, jak ty.

– Przynajmniej – odciął się, – mogę mieć nadzieję, że wrócę do domu, aby opowiedzieć o tym co odkryłem, nawet jeżeli będzie tego tak niewiele, jak dokonania Younga.

– Ale czy ty nie rozumiesz – niecierpliwie odparła, – że gdziekolwiek byśmy nie poszli, tam, niewykluczone że tuż poza zasięgiem naszego wzroku, może znajdować się coś cudownego? Badamy tylko niewielkie tysiącstopowe próbki olbrzymiej krainy, i za każdym razem możemy po prostu coś pominąć. Coś, co będzie miało kluczowe znaczenie dla tej planety. Jak by to wyglądało, gdybyśmy robili analizę kilkusetstopowych kół na Ziemi. Jak wielką byśmy mieli szansę znalezienia w ten sposób części miasta, domu, czy choćby nawet istoty ludzkiej?

– Absolutna prawda, Pat, ale co możemy na to poradzić?

– Moglibyśmy przynajmniej poświęcić kilka zasad bezpieczeństwa i pokryć chociaż trochę więcej terenu.

– Ale nie poświęcimy. Mam zamiar zadbać o twoje bezpieczeństwo.

– Och! – prychnęła z irytacją, odwracając się od niego. – Jesteś… – Jej słowa stłumiła mgła, ponieważ oddaliła się na całą długość jedwabnej linki, którą była do niego przywiązana. Nie było jej w ogóle widać, ale sporadyczne szarpnięcia i pociągnięcia, kiedy próbowali poruszać się w przeciwnych kierunkach, były wystarczającym dowodem, że nadal pozostawali połączeni.

Ham powoli szedł naprzód, sprawdzając kamienisty, pozbawiony życia teren, gdzie tu i ówdzie ciemną plamą odznaczały się kałuże skondensowanej wilgoci. Sporadycznie natrafiał na poskręcane zielsko, podobne do tego, jakie Pat rzuciła koło rakiety. Widać było, że deszcz na bezwietrznym Uranie, jest czymś nieznanym, a znajdująca się na jego powierzchni woda, krążyła w nieskończonym cyklu kondensacji w zimnym powietrzu i parowania na cieplejszej ziemi.

III

Ham doszedł do miejsca, w którym jak się wydawało, wydostawało się na powierzchnię ciepłe błoto, a pióropusze pary wirowały w górę, by rozpłynąć się we mgle. Był to dowód na to, że planetę ogrzewało właśnie ogromne ciepło wewnętrzne. Stał i wpatrywał się w ten widok, kiedy nagle gwałtowne szarpnięcie linki niemal przewróciło go na plecy.

Odwrócił się do tyłu. Nagle we mgle zmaterializowała się Patricia, trzymająca w jednej ręce szlamowatą roślinę. Kiedy go zobaczyła, rzuciła ją na ziemię i niespodziewanie zapamiętale przytuliła się do niego.

– Ham! – z trudem złapała oddech. – Lepiej już wracajmy! Wystraszyłam się!

– Wystraszyłaś? Czego? – Znał jej charakter. Była odważna aż do granic nierozwagi. Potrafiła stawić czoła każdemu zagrożeniu, jakie rozumiała, ale niech no tylko w otoczeniu pojawił się rąbek tajemniczości, to jej żywa wyobraźnia malowała natychmiast potworne rzeczy, przekraczające możliwości jej wytrzymałości.

– Nie wiem! – wydyszała. – Ja… ja coś widziałam!

– Gdzie?

– We mgle! Wszędzie!

Ham uwolnił swoje ręce, i opuścił dłonie na rękojeści pistoletów, które miał za pasem.

– Co takiego widziałaś? – spytał ją.

– Okropne rzeczy! Koszmarne stworzenia!

Delikatnie nią potrząsnął.

– No i kto tu jest strachliwy? – spytał ją wyzywająco, ale łagodnym tonem. Pytanie odniosło jednak skutek, jaki chciał wywołać. Wzięła się w garść i uspokoiła.

– Wcale się nie przeraziłam! – ostro rzuciła. – Byłam tylko zaskoczona. Zobaczyłam… – Ponownie pobladła.

– Co zobaczyłaś?

– Nie wiem. Zarysy postaci we mgle. Wielkie poruszające się stworzenia, z twarzami. Gargulce… diabły… koszmary!

Wstrząsnął nią dreszcz, ale po chwili ponownie się uspokoiła.

– Okrążałam mały staw, tam dalej, sprawdzając pewien okaz biologiczny. Wszędzie było zupełnie spokojnie… panował tak jakby śmiertelny spokój. I wówczas w stawie zobaczyłam cień… odbicie czegoś, co było nade mną… Popatrzyłam do góry, ale niczego nie dostrzegłam. Ale w tym momencie usłyszałam szmery, szelesty i dźwięki podobne do stłumionych głosów, a potem zobaczyłam postacie we mgle… straszliwe postacie… wszędzie dookoła mnie. I zaczęłam krzyczeć, lecz wtedy zdałam sobie sprawę, że nie możesz usłyszeć moich krzyków, a więc pociągnęłam za linkę. Później, wydaje mi się, że po prostu zamknęłam oczy i pobiegłam przez te stwory w twoją stronę.

Drżała tuląc się do niego.

– Wszędzie dookoła? – spytał ostrym tonem. – Czy chciałaś przez to powiedzieć, że były również pomiędzy tobą a mną?

Potwierdziła.

– Wszędzie.

Ham krótko się roześmiał.

– Śniłaś na jawie, Pat. Ta linka nie jest na tyle długa, aby coś mogło przejść między nami, nie podchodząc do kogoś z nas na tyle blisko, byśmy mogli to wyraźnie zobaczyć, a ja niczego nie widziałem –– absolutnie niczego.

– No cóż, coś jednak widziałam – upierała się, – i to nie była tylko wyobraźnia. Czy myślisz, że jestem wystraszonym dzieciakiem, bojącym się obcych miejsc? Przecież urodziłam się na innej planecie! – Widząc jego pobłażający uśmieszek, naprawdę zapłonęła oburzeniem. – No dobrze! Poczekajmy oboje po cichu, może wrócą tutaj ponownie. Wtedy zobaczymy, co powiesz na ich widok.

Skinął głową, zgadzając się, i stali w milczeniu pod opalizującą światłem kopułą mgły. Niczego nie było widać ani słychać, poza głęboką, nieskończoną szarością i niekończącą się ciszą. Ciszą jakiej Ham nigdy jeszcze wcześniej doświadczył, w całym swoim życiu. Na przykład, na Wenus –– nawet w najbardziej rozpalonej części Tropików –– zawsze było słychać szelesty rodzącego się życia i wieczny lament wiatrów. Na Ziemi także ani dzień, ani noc, nigdy nie są tak zupełnie ciche.

Zawsze skądś dochodzą jakieś odgłosy: szelest liści, szmer trawy, czy też szum wody lub bzyczenie owadów. Ale nie tutaj. Tutaj panował tak zupełny spokój, że oddech stojącej obok niego dziewczyny przynosił prawdziwą ulgę. Cisza była tak głęboka, że niemal się ją słyszało.

Usłyszał coś… czy też może po prostu własna krew pulsowała mu w uszach? Bezpostaciowe tętnienie, nieskończenie cichutki szelest, niewyraźny szept. Zmarszczył brwi, koncentrując się by lepiej słyszeć, a Patricia zadrżała przytulona do niego.

– Tam! – syknęła. – Tam!

Wpatrzył się w szarą mgłę. Zupełnie nic… czy też coś tam było? Cień. Ale co tutaj mogłoby spowodować cień? Tutaj, w tym pozbawionym słońca królestwie mgły? Kondensacja pary, tuman, to wszystko. Ale to się przesuwało. Mgła nie może się przesuwać nie popychana wiatrem, a tutaj było zupełnie bezwietrznie.

Wytężał oczy, usiłując przebić wzrokiem ciemność. Zobaczył –– albo może sobie to wyobraził? –– potężną, wznoszącą się wysoko w niebo, postać, zaraz… kilkanaście postaci. Były wszędzie dookoła, jedna przesunęła się w milczeniu ponad ich głowami, a niezliczone tłumy innych powiewały i kołysały się, tuż poza zasięgiem widoczności. Słychać było ich mamrotania i pomruki, dźwięki podobne do odgłosów oddechu i szeptów, do szmeru odległych rozmów i szelestów. Postaci we mgle, były dziwnie niestabilne. Wyrastały z małych plam ciemności w olbrzymie cienie, rozpraszając się i ponownie tworząc, jak widmowe kształty.

– Dobry Boże – wysapał Ham. – Co to…

Próbował skoncentrować spojrzenie na jednej określonej postaci, w tym tłumie cieni. Było to trudne. Wydawało się, że ich kształty nieustannie przesuwają się, zlewają, rozdzielają, rozmywają, albo po prostu materializują się i znikają. Nagle jednak jego uwagę przyciągnęło jedno zaskakujące zjawisko, a chwilę później oszołomiło go to tak mocno, że aż zesztywniał. Widział twarze!

Nie były to dokładnie rzecz biorąc, twarze ludzkie. Wyglądały bardziej na zjawy, takie jak opisywała Patricia –– twarze gargulców albo diabelskie, spoglądające chytrym wzrokiem, wykrzywione, uśmiechające się od ucha do ucha w obłąkanej radości, albo zdające się płakać w prześmiewczym smutku. Nie było widać ich na tyle dokładnie, aby można było dostrzec coś więcej niż tylko przelotne wrażenia –– tak mgliste i ulotne, że można było porównać je do iluzji, albo snów.

To muszą być złudzenia, pomyślał ze zmieszaniem, choćby z tego powodu, że chociaż nie były ludzkie, to naśladowały ludzi. Przypuszczenie, że Uran mógłby stanowić dom dla jakiejś rasy ludzi, albo istot podobnych do ludzi, zdecydowanie wykraczało poza granice zdrowego rozsądku.

Przytulona do niego Patricia pisnęła:

– Wracajmy już, Ham. Proszę cię, chodźmy z powrotem.

– Posłuchaj – powiedział łagodnie. – To są złudzenia, a przynajmniej w części.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ są antropomorficzne. Nie mogą przecież tutaj żyć jakieś stworzenia, o niemal ludzkiej twarzy. To nasze własne umysły dodają szczegóły, które nie istnieją w rzeczywistości. Tak samo jak za każdym razem kiedy zobaczysz jakąś chmurę na niebie, albo pęknięcie na suficie, próbujesz dopasować do nich twarz lub kształt. Wszystko co widzimy, to po prostu zgęstnienia i zawirowania we mgle.

– Chciałabym wierzyć, że jesteś tego pewien – przeszedł ją dreszcz.

W ogóle nie był tego pewien, ale potwierdził:

– Oczywiście, że jestem. Pokażę ci również prosty sposób na to, aby to udowodnić. Zrobimy im zdjęcia aparatem fotograficznym w podczerwieni, a one dadzą nam wystarczająco dużo szczegółów, aby to dobrze ocenić.

– Będę się bała spojrzeć na te fotografie – powiedziała dziewczyna, z drżeniem patrząc na rozmyte strachy we mgle. – Przypuśćmy… przypuśćmy, że te twarze będą również i na nich. Co wtedy powiesz?

– Powiem, że to dziwny i niespodziewany zbieg okoliczności, że życie na Uranie –– jeżeli to w ogóle są żywe stworzenia –– rozwinęło się w częściowo zbieżnych kierunkach z ziemskim. A przynajmniej jeśli chodzi o zewnętrzną postać.

– I będziesz się mylił – wyszeptała. – tak sprawa nie może być dziełem zbiegu okoliczności. – Zadrżała przyciśnięta do niego. – Wiesz, co myślę? Ham, jak ci się wydaje, czy możliwe jest, że cała nauka jest w ogóle do niczego, i że Uran jest Piekłem? A ci tutaj, to dusze przeklętych?

Roześmiał się głośno, ale nawet jego śmiech zabrzmiał jakoś głucho, tłumiony przez kłęby mgły.

– Pat, to jest najbardziej zwariowany pomysł, jaki mógłby się zrodzić, nawet w tak dzikiej wyobraźni jak twoja. Mówię ci przecież, że to są…

Przerwał mu głośny krzyk dziewczyny. Stali przytuleni do siebie, patrząc na kopułę mgły w różnych kierunkach. Odwrócił się więc do tyłu, aby zerknąć w tę stronę, w którą spoglądała ona.

Przez moment, po tym jak przesunął spojrzenie, nie mógł go skupić i zamrugał gwałtownie, próbując wyostrzyć wzrok. Potem zobaczył to, co tak nią wstrząsnęło. Był to ogromny, mroczny cień, który zdawał się rozpoczynać gdzieś w pobliżu powierzchni planety, ale strzelał wysoko w górę i zakrzywiał się ponad ich głowami, tak jakby rzeczywiście wspinał się po prawdziwej kopule mgły, jak zaćmiewająca wszystko rzeka ciemności, płynąca do góry.

Pomimo drwin ze zjaw zrodzonych przez strach Patrici, on również miał nerwy napięte do granic ostateczności. Dzięki czysto automatycznemu odruchowi, w jego ręce znalazła się broń i równie odruchowo posłał pocisk we mgłę. Odgłosy strzału były osobliwie przytłumione –– tylko jedno pełne echo –– a potem zupełna cisza.

Zupełna cisza. Szepty i pomruki umilkły –– tak samo zniknęły mgliste postaci. Mrugając oczyma wpatrywali się we mgłę, ale widzieli jedynie ponurą szarość samej wiecznej chmury. Nie było również niczego słychać poza szmerem ich pełnych napięcia oddechów oraz cichutkim dzwonieniem w uszach, spowodowanym falą uderzeniową wystrzału.

– Zniknęły – dziewczyna złapała oddech.

– Pewnie. Dokładnie tak jak ci mówiłem. Złudzenia!

– Złudzenia nie uciekają po wystrzale – odcięła się Patricia, a jej odwaga odżyła natychmiast, wraz ze zniknięciem mglistych postaci. – Muszą być rzeczywiste. Rzeczywistych rzeczy nie boję się nawet w połowie tak mocno, jak… no cóż, rzeczy których nie potrafię zrozumieć.

– A czy te zrozumiałaś? – odparł. – A co do tego, czy iluzje uciekają po wystrzałach, to powiedziałbym, że mogą. Przypuszczam, że te wyobrażenia były wynikiem jakiejś samohipnozy, albo może nawet po prostu, skutkiem wytężania wzroku, podczas patrzenia w tej mgle. Czy nie wydaje ci się, że strzał mógł nami wstrząsnąć na tyle, że wytrącił nas z odpowiedniego stanu umysłu, tak że przestaliśmy je widzieć?

– Być może – powiedziała z powątpiewaniem. – W każdym razie, teraz już się w ogóle nie boję. Czymkolwiek by one nie były, wydaje mi się, że są nieszkodliwe.

Skierowała swoją uwagę, na znajdującą się przed nimi, kałużę błota, w której rosło kilka ciekawych pierzastych roślin, kołyszących się wraz z parującą, pokrytą bąbelkami wodą.

– Kryptogamoidy – powiedziała, nachylając się nad nimi. – Prawdopodobnie to jedyny rodzaj roślin, jaki może istnieć na Uranie, ponieważ nie ma tutaj żadnych pszczół, ani innych stworzeń przenoszących pyłki.

Ham chrząknął, wpatrując się w ponurą szarą mgłę. Nagle oboje poderwali się w nagłym zaskoczeniu, na dźwięk dzwonka na bębnie, który zawierał drut wskazujący im drogę z powrotem. Jeden dzwonek. Ostrzeżenie z *Gai*!

Pat podskoczyła, prostując się. Ham natychmiast wysyłał odpowiedź, pociągając za drut, i wymruczał:

– Lepiej już wracajmy. Harbord i Cullen musieli coś zobaczyć. Prawdopodobnie to tylko rzeczy podobne do tego, co i my widzieliśmy, ale lepiej chodźmy już z powrotem.

Zaczęli wracać po własnych śladach. Tysiącstopowy drut cichutko szumiał, nawijając się ponownie na sprężynową szpulę, wiszącą na biodrze Hama. Poza tym odgłosem oraz szuraniem żwiru pod stopami, panowała zupełna cisza, a mgła stała się ponownie pozbawioną elementów charakterystycznych kopułą zielonkawej szarości. Pokonali może dwieście jardów, kiedy sytuacja się zmieniła.

Patricia jako pierwsza zauważyła kształty we mgle.

– Wracają! – syknęła mu do ucha. Obecnie jednak w jej głosie nie było nawet śladu strachu.

IV

On również je zobaczył. Tym razem postaci nie otaczały ich dookoła, ale pędziły po bokach, dwoma równoległymi strumieniami z kierunku, w którym znajdowała się *Gaja*. Albo może tylko rozdzielały się na dwa strumienie, tuż poza zasięgiem widoczności. Wraz z Pat poruszali się, wręcz aleją, otoczoną z obu stron ścianami rzędów pędzących cieni.

Przycisnęli się mocniej do siebie i brnęli dalej przez mgłę. Do rakiety nie pozostało już dalej niż sto pięćdziesiąt stóp. Wtedy nagle, tak niespodziewanie, że aż zatrzymali się w pół kroku, prosto przed nimi wyłonił się jakiś ciemny kształt, bardziej materialny niż mgła, bardziej materialny niż mgielne postaci.

Cokolwiek by to nie było –– zbliżało się do nich. Wyglądało jak ciemne koło na poziomie ziemi, miało może sześć stóp średnicy, zarówno w pionie jak i na boki. Poruszało się mniej więcej w tempie idącego człowieka i materializowało się szybko, stając się coraz bardziej namacalne.

Ham i Pat wpatrywali się jak zauroczeni. Zbliżający się obiekt ciągle pozbawiony był cech charakterystycznych –– po prostu mroczne czarne koło i rurowate ciało, rozciągające się od niego i niknące we mgle. Albo nie… nie do końca pozbawione cech charakterystycznych. Teraz mogli już dostrzec wyrastający ze środka koła jakiś organ –– zwisający, trzęsący się dyskowaty członek, podobny do wielkiego naleśnika wiszącego na wypustce grubości palca. Brzegi naleśnika drżały i zawijały się w ich stronę, tak jakby w próbie wychwycenia jakichś dźwięków lub zapachów. Stworzenie najwyraźniej było ślepe.

Jednak musiało ono posiadać jakiś zmysł, pozwalający wykrywać obiekty znajdujące się w pewnej odległości. Trzydzieści stóp przed nimi, zbliżający się dysk uformował się w głęboki kielich, wystawiony w ich kierunku, a stworzenie nieznacznie zboczyło z poprzedniej trasy i w zupełnym milczeniu, ruszyło w stronę pary badaczy!

Ham był już przygotowany. Jego automat huknął głucho w stłumionym odgłosie strzału, a po chwili huknął jeszcze raz. Zdawało się, że napastnik złożył się w sobie, jak teleskop, i odtoczył się na bok, a spoza niego wyłoniło się stworzenie identyczne pod każdym względem –– takie samo pozbawione elementów charakterystycznych czarne koło, z takim samym trzęsącym się dyskiem, z przodu. Otaczającą ich mgłę przeciął jednak ostry jak nóż, wysoki, przeszywający jęk bólu.

To było zagrożenie, które Patricia potrafiła pojąć. Nie czuła teraz najmniejszej obawy. Zbyt wielu obcym stworzeniom stawiała już czoła, na granicach Tropików na Wenus, czy też w tajemniczych matecznikach Gór Wieczności.

Wyrwała swojemu towarzyszowi, z kabury przy pasie, pistolet energetyczny, i stanęła z gotową do strzału bronią, aby plunąć z niej pojedynczym jęzorem destrukcji. Wiedziała, że stanowi ostatnią linię obrony i nie powinna używać jedynego strzału z pistoletu, dopóki nie

zawiodą inne środki, tak więc czekała w gotowości i pociągała za przewód prowadzący do *Gai*. Trzy szarpnięcia, a następnie kolejne trzy, to powinno sprowadzić na pomoc Cullena i Harborda.

Drugie stworzenie –– albo był to może tylko kolejny segment tego samego zwierzęcia? –– zaszarżowało przed siebie. Ham posłał kolejne dwa pociski w jego pusty, pozbawiony twarzy, przód, i znowu zabrzmiały ostre nuty bólu. Potwór zboczył i padł bezwładnie, jednak w ich stronę pędził już kolejny czarny krąg. Tym razem strzał nie powalił go, ale stworzenie skręciło w bok.

Nagle zwierzę mknęło już z rykiem obok nich, czarne i olbrzymie jak pociąg. To było stworzenie zbudowane z segmentów. Składało się ono z kilkudziesięciu ośmiostopowych ogniw, jak pociąg z miniaturowych wagonów. Każdy z jego członów miał trzy nogi.

Biegło ono jednak jak pojedyncze stworzenie, a jego niezliczone nogi poruszały się w zgodnym rytmie, dokładnie tak jak u stonogi. Ham zauważył w przelocie sposób, w jaki poszczególne segmenty były ze sobą połączone, przy pomocy wypustków ciała o grubości palca.

Posłał trzy pociski w środek mijającego ich członu. To była fatalna pomyłka. Z segmentu plunęła czara ciecz i potoczył się na bok, wypadając z rzędu. Ten, który podążał za nim, skierował jednak szypułkę swojego członka w stronę obojga broniących się ludzi, i pomknął w ich kierunku. A dalej we mgle, pierwszy segment zatoczył koło i ruszył z powrotem na nich. Musieli teraz stawić czoła dwóm, zamiast jednemu.

Hamowi pozostały już tylko trzy naboje w magazynku. Ponuro wystrzelił jeden z nich prosto w dysk z trzęsącego się cielska, które zawijało się w jego stronę. Zobaczył, ze potwór pada i posłał kolejny pocisk w człon podążający za nim. To stworzenie –– czy też te stworzenia –– wydawały się ciągnąć daleko we mgłę, na niemożliwą do określenia odległość.

Tuż obok niego rozległ się huk pistoletu energetycznego. Pat zaczekała, aż kolejny potwór niemal jej dopadnie, tak by pojedynczy strzał wywołał tyle szkody, ile tylko się da.

Ham poświęcił chwilkę na błyskawiczne spojrzenie, aby ocenić uzyskany wynik. Straszliwe wyładowanie, po prostu spopieliło kilkanaście segmentów, a jeden samotny ocalały, odpełzł gdzieś we mgłę.

– Dobra dziewczynka – wymamrotał i posłał swój ostatni pocisk w pędzącą prosto na nich potworność. Stworzenie upadło na ziemię, a za nim nieubłaganie zbliżało się kolejne. Rzucił opróżniony pistolet w mięsisty dysk, zobaczył jak odbija się od czarnej skóry i czekał, wciągnąwszy Patricię za siebie.

Rozległ się potężny huk, któremu towarzyszył rozbłysk światła. Pistolet energetyczny! Rozmyte we mgle postaci Harborda i Cullena, zmierzały ich śladami, idąc wzdłuż drutu, a przed nimi wiły się segmenty postrzelonego wyładowaniem potwora.

To, co pozostało ze stworzenia, najwidoczniej miało już dosyć kary, ponieważ skręciło w lewo i popędziło z największą szybkością we mgłę, zredukowane obecnie do nie więcej niż dziesięciu członów. A dookoła grupy ludzi, tuż poza zasięgiem widoczności, mgielne postaci gestykulowały, wykrzywiały się, bełkotały, aż w końcu one również zniknęły.

Nie padło nawet słowo, zanim cała czwórka nie doszła po drucie do włazu *Gai*. Kiedy już znaleźli się w środku Pat, ściągającej z siebie ociekającą wodą kurtkę, wyrwał się cichutki świst ulgi.

– Uff – odetchnęła. – To była przygoda.

– Przygoda! – parsknął Ham. – Słuchaj, możesz sobie zabrać całą tę rozmokłą planetę. A tobie także sugerowałbym ograniczenie się do pokładu statku. To nie jest miejsce dla takiej bezmyślnej istoty, jak ty. Kłopoty ciągną do ciebie, jak muchy do miodu.

– Tak jakbym miała z tym wszystkim, cokolwiek wspólnego! – odcięła się. – W porządku, wydaj mi rozkaz pozostania na pokładzie, jeżeli myślisz, że to cokolwiek załatwi!

Chrząknął tylko i zwrócił się do Harborda.

– Dzięki – powiedział. – Było już naprawdę blisko, kiedy wy się pokazaliście. A tak przy okazji, skąd to ostrzeżenie dla nas? Te postaci we mgle?

– Chodziło ci o tę paradę karnawałową, którą widzieliśmy? – spytał Harbord. – Albo może to był raczej konwent spirytystów? Nie, nie byliśmy pewnie, czy one są rzeczywiste. To chodziło o to stworzenie, na które się natknęliście. Przemknęło tutaj, wyraźnie w kiepskim nastroju, i ruszyło w waszym kierunku.

– Ono, czy też raczej one? – poprawił go Ham.

– Czy widziałeś ich więcej?

– Ja *zrobiłem* ich więcej. Przeciąłem je na pół, i obie połówki zgodnie rzuciły się na nas. Pat załatwiła jedno z nich wystrzałem z pistoletu energetycznego, ale przy pomocy kul, wszystko co byłem w stanie zdziałać, to tylko załatwić kilka pojedynczych członów. – Zmarszczył brwi. – Czy rozumiesz, jak funkcjonuje to stworzenie, Pat?

– Lepiej niż ty – odcięła się ostro. Jego groźba, że każe jej siedzieć na statku, nadal jątrzyła ją do żywego. – To byłaby niezła ekspedycja, gdybyście nie mieli biologa, co?

– To właśnie dlatego tak uważam na ciebie – uśmiechnął się szeroko. – Boję się, że zostałbym bez biologa. Masz może jednak jakieś pomysły odnośnie tych rozdzielających się robali z kosmosu?

– Tylko jeden. To jest zwierzę gromadne. Czy słyszałeś może kiedyś o Henri Fabre?

– Nic co bym zapamiętał.

– No cóż, to był wielki francuski naturalista, żyjący mniej więcej dwa wieki temu. Pośród innych rzeczy, studiował on pewne interesujące małe owady, określane jako gąsienice procesyjne, albo korowódkowate. Żyją one gromadnie, za dnia w gniazdach utworzonych ze wspólnie sporządzanego oprzędu. Każdej nocy wychodzą z nich, aby żerować.

– No i?

– Posłuchaj mnie spokojnie, tylko przez moment – powiedziała dziewczyna. – Poruszają się gęsiego, jedną grupą, każda z gąsienic dotyka swoim łebkiem tyłu tej, która ją poprzedza. Rozumiesz, one są ślepe, a więc każda z nich polega na tej z przodu. Pierwsza jest przywódcą, wybiera drogę, prowadzi je na właściwe drzewo, i dopiero tam kolumna się rozdziela, aby mogły żerować. A o wschodzie słońca, ponownie formują się w małe kolumny, które zbierają się razem w wielką procesję, i tak idą z powrotem do swojego gniazda.

– Nadal nie rozumiem…

– Za chwilę zrozumiesz. Widzisz, którakolwiek z gąsienic nie znalazłaby się na czele, staje się prowadzącą. Jeżeli weźmiesz patyk, i w jakimkolwiek punkcie rozdzielisz kolumnę, to ta znajdująca się za przerwą, staje się przywódcą dla podążających za nią, i prowadzi je z powrotem do gniazda z przędzy, równie skutecznie jak oryginalny prowadzący. A jeżeli oddzielisz jakąkolwiek pojedynczą gąsienicę, to ona również potrafi znaleźć właściwą drogę, sama będąc jednocześnie prowadzącą i kolumną.

– Zaczynam rozumieć – wymamrotał Ham.

– Tak. To stworzenie –– albo te stworzenia –– są czymś podobnym do gąsienic procesyjnych. Są ślepe, tak prawdę mówiąc, to oczy na Uranie byłyby dużo mniej przydatne niż na Ziemi, a więc być może żadne z urańskich stworzeń nie wytworzyło oczu –– chyba że te postaci we mgle je mają. Wydaje mi się, jednak, że te stworzenia są dużo bardziej rozwinięte niż korowódkowate, ponieważ gąsienice ustanawiają kontakt między sobą przy pomocy włókien oprzędu, a te przyjemniaczki wyraźnie robią to przez prawdziwe połączenia nerwowe.

– Tak? – powątpiewał Ham.

– Oczywiście. Czy nie zauważyłeś, jak one były połączone? Ten płaski organ z przodu –– każdy przyciskał go jak przyssawkę do tego, który był przed nim –– zawsze był identycznie umiejscowiony, dokładnie w tej samej pozycji. A kiedy zastrzeliłeś tego w środku grupy, zauważyłam że nakrywał on nim, u osobnika przed sobą, jakiś mięsisty wyrostek. Poza tym… – Przerwała.

– Poza tym, co?

– **N**o cóż, czy nie uderzyło cię może, jak dziwnie sprawnie ten cały rząd współpracował między sobą? Ich nogi poruszały się tak jakby w jednym rytmie, jak nogi pojedynczego stworzenia, jakiegoś wielonoga, na przykład stonogi. Nie wydaje mi się, żeby jakiekolwiek szkolenie lub dyscyplina mogło wystarczyć do tego, aby poruszać się tak, jak robiła to ta grupa stworzeń. Biegały, zatrzymywały się, skręcały i zawracały, a wszystko to w doskonałej harmonii. Cały ten rząd musiał znajdować się pod bezpośrednią kontrolą neuronową przywódcy –– słysząc i czując wszystko to, co i on, a nawet, być może, odpowiadając na jego pragnienia, nienawidząc razem z nim, a w końcu razem z nim czując strach!

– Niech mnie diabli, wydaje mi się, że masz rację! – zawołał Ham. Ta cała banda, zachowywała się jak jedno zwierzę!

– A ty, beztrosko, stworzyłeś drugie, przerywając rząd – poprawiła go dziewczyna. – Widzisz…

– Stworzyłem kolejnego przywódcę! – dokończył Ham z podnieceniem. – Ten człon, za przerwą w rzędzie, stał się drugim przywódcą, zdolnym do niezależnego działania. – Zmarszczył brwi. – Powiedz, jak ci się wydaje, czy te stworzenia, kiedy są połączone, mogą sumować swoją inteligencję? Czy każde z nich dodaje swoje zdolności umysłowe –– jeżeli coś takiego w ogóle mają –– do dominującego mózgu przywódcy?

– Wątpię w to – odparła dziewczyna. – Gdyby tak było, zbudowałyby kolosalny intelekt, po prostu dodając kolejne sekcje, jedna po drugiej. Nieważne jak głupi byłby każdy z pojedynczych członów, musiałyby jedynie poprzyczepiać do siebie dostateczną ich liczbę, tworząc inteligencję na niemal boskim poziomie. Gdyby taki twór istniał tutaj teraz, czy też kiedykolwiek w przeszłości, nie biegaliby wszędzie, bezbronni i dzicy. Musieliby stworzyć jakiegoś rodzaju cywilizację, co nie? Ale – dodała jeszcze, – być może zlewają razem swoje doświadczenia. Przywódca mógłby mieć do swojej dyspozycji wszystkie poszczególne wspomnienia, co nie powodowałoby jakiegoś diabelnego przyrostu jego zdolności umysłowych.

– Brzmi wiarygodnie – zgodził się Ham. – A teraz, co do tych postaci we mgle. Czy na ich temat, również coś wymyśliłaś?

Zadrżała.

– Niezbyt wiele – wyznała. – Myślę jednak, że istnieje jakiś związek pomiędzy nimi, a tymi drugimi.

– Dlaczego?

– Ponieważ cienie pojawiły się tuż przed atakiem, przepływając obok nas szpalerem. Być może po prostu uciekały przed tym gromadnym stworzeniem, ale w tym przypadku powinny poruszać się w rozproszeniu. A tak przecież nie było. Nadleciały na nas w dwóch oddzielnych strumieniach, więcej nawet, podczas naszej bitwy, przez cały czas migotały i połyskiwały gdzieś w tle. Nie zauważyłeś tego?

– Moja uwaga zajęta była czymś innym – sucho stwierdził Ham. – A więc, co tam z nimi?

– No cóż, czy słyszałeś kiedyś może o indicator albirostris, miodowodzie[1]?

– Brzmi mgliście znajomo.

– To afrykański ptak z rodziny kukułek, który prowadzi ludzi do rojów dzikich pszczół. Dzięki temu ludzie biorą sobie miód, a ptak dostaje larwy. – Przerwała na chwilę. – Wydaje mi się – dokończyła, – że te postaci z mgły odgrywają dla tych drugich, rolę miodowodów. Myślę, że doprowadziły te stworzenia do nas, ponieważ rozgniewał je twój strzał,

[1] W zasadzie do dalszego opisu Weinbauma najbardziej pasuje miodowód duży, indicator indicator. Indicator albirostris nie udało mi się znaleźć w żadnym tekście na temat miodowodów. Ponadto miodowody są co prawda pasożytami lęgowymi, podobnie jak wiele kukułek, ale należą do dzięciołowych, a nie kukułkowych, i z podrodziną kukułek nie mają nic wspólnego (przyp. tłumacza).

albo może chciały dostać resztki, jaki by pozostały, po wykończeniu nas przez te człony, albo po prostu mają takie destrukcyjne charaktery. W każdym razie, takie są moje domysły.

– Oczywiście, jeżeli są one rzeczywiste – dodał Ham. – Następnej grupie, stadu, rojowi, czy też jakkolwiek można nazwać ich skupiska, musimy zrobić zdjęcie aparatem podczerwonym. Nadal myślę, że mają w większości iluzoryczny charakter.

Wzdrygnęła się.

– Mam nadzieję, że masz rację – wyszeptała.

– Ha! – nagle oznajmił Harbord. – Baby nie nadają się do takich miejsc, jak to. Są zbyt bojaźliwe.

– Tak? – odciął się Ham, teraz już w pełni gotów do tego, aby bronić Patrici. – Podczas tej awantury, tam na zewnątrz, potrafiła zachować dostatecznie dużo zimnej krwi, aby dostrzec różnorodne szczegóły.

– Ale wystraszyć się cieni! – gderał Harbord.

V

Okazało się jednak, że to nie były cienie. Kilka godzin później, Cullen zgłosił, że mgła wokół Gai pełna była przesuwających się, podrygujących kształtów, i przepchnął na wózku, przez obydwa włazy śluzy, długofalowy aparat fotograficzny.

Pomimo gorszego działania, z powodu wypełnionej argonem atmosfery, której widmo absorpcyjne odfiltrowywało promieniowanie długofalowe, płyty podczerwone były jednak dużo bardziej czułe niż ludzkie oko, chociaż być może słabiej oddawały szczegóły. Najważniejsze jednak, że płyta fotograficzna, w najmniejszym stopniu nie jest podatna na sugestie. Nigdy nie zmieni koloru tego co widzi, z powodu barwnych doświadczeń z przeszłości. Na chłodno, w pozbawiony emocji sposób, zapisze wzorzec promieni świetlnych, które na nią padną.

Kiedy Cullen był już gotowy do wywołania swoich płyt, Patricia nadal spała, zmęczona gorączką wydarzeń, pierwszego dnia na planecie. Ham jednak wyrwał się z drzemki, żeby zobaczyć wyniki.

Otrzymane zdjęcia pokazały może mniej niż obawiała się ona, ale zdecydowanie więcej, niż oczekiwał Ham. Zmrużył oczy, przypatrując się pod światło negatywowi, a następnie wziął plik odbitek od Cullena, marszcząc brwi podczas ich przeglądania.

– Hmmm – wymamrotał. Ponad wszelką wątpliwość, na zdjęciach coś było, ale to coś, wcale nie było dużo bardziej określone, niż widoki oglądane gołym okiem. Niewątpliwie mgielne postaci były rzeczywiste, ale równie pewne było, że nie są one antropomorficzne.

Demoniczne twarze, oblicza spoglądające chytrym wzrokiem, sardoniczne fizjonomie, z pewnością dla obiektywu aparatu fotograficznego nie istniały. Pod tym względem, istoty jakie widzieli, były iluzją, której cechy charakterystyczne zostały nałożone przez ich własne umysły, na cienie we mgle. Ale jedynie pod tym względem, ponieważ, pod pokładami złudzenia, znajdowało się coś, bez wątpienia rzeczywistego. Jednak jakie rzeczywiste istoty, mogły tak migotać, przeskakiwać, zmieniać kształty i rozmiary, tak jak to obserwowali?

– Nie pokazujcie tych zdjęć Pat, chyba że sama o nie zapyta – powiedział zamyślony. Myślę, że na razie uziemię ją jednak na statku. Sądząc po tych paru akrach, które do tej pory obejrzeliśmy, to nie jest najbardziej przyjazne miejsce na świecie.

Ale w obu sprawach nie wziął pod uwagę woli dziewczyny. Kiedy piętnaście godzin później, przesunął rakietę o mile na południe i przygotowywał się do badania kolejnego kółka we mgle, przyjęła jego rozkaz burzą protestów.

– To po co jest ta ekspedycja? – dopytywała się. – Najistotniejszą rzeczą na każdej planecie jest życie jakie ona zrodziła, a to przecież jest robota dla biologa, co nie?

Wróciła oburzone oczy na Hama.

– Jak myślisz, po co Instytut wybrał mnie do tej roboty? Mam teraz, tak po prostu, siedzieć bezczynnie w rakiecie, podczas gdy paru niekompetentnych gości kręci się po całej okolicy? Chemik i inżynier, którzy nie odróżniają epifitów od hemiptera?

– No cóż, moglibyśmy przynosić ci okazy – niepewnym głosem wymamrotał Ham.

Ale to spowodowało jedynie nawrót nawałnicy.

– Posłuchaj mnie – warknęła. – Jeżeli chcesz usłyszeć prawdę, to ja nie jestem tutaj dzięki wam. To wy jesteście tutaj dzięki mnie! Inżynierów, chemików czy astrogatorów, mogli znaleźć na pęczki, ale ilu jest dobrych biologów pozaziemskich? Cholernie mało!

Ham nie znalazł na to żadnej odpowiedzi, ponieważ była to całkowita prawda. Pomimo swojego młodego wieku, urodzona na Wenus i wykształcona w Paryżu Patricia, była bez wątpienia wybitną osobistością w swojej dziedzinie. Chcąc zachować uczciwość względem sponsorów, nie mógł również utrudniać jej wykonywania swojej pracy. Pomimo wszystko, nawet finansowany przez rząd Smithsonian nie mógł sobie pozwolić na wydanie ponad dwóch milionów dolarów, nie dostając za swoje pieniądze odpowiednich wyników.

Wysłanie rakiety w tak odległe głębiny kosmosu, w jakich, po swojej samotnej orbicie, podążał Uran, było projektem tak kosztownym, że nawet ze zwykłej uczciwości, ekspedycja powinna zrobić wszystko co tylko była w stanie, zwłaszcza, że miało minąć czterdzieści długich lat, zanim pojawi się kolejna możliwość odwiedzenia tej pełnej wątpliwości planety. Westchnął więc i poddał się.

– To wskazuje na słabiutkie przebłyski inteligencji – stwierdziła Patricia. – Myślisz może, że boję się tych poruszających się łańcuchów kiełbas? Ja nie popełnię błędu polegającego na przecięciu ich w połowie. A co do tych cieni o zabawnych twarzach, to sam przecież powiedziałeś, że to były złudzenia, i… przy okazji, gdzie są te zdjęcia, które mieliście im zrobić? Czy coś na nich widać?

Cullen zawahał się, a następnie, po zrezygnowanym skinięciu głową Hama, podał jej plik zdjęć. Już po pierwszym spojrzeniu, nagle zmarszczyła brwi.

– One są rzeczywiste! – powiedziała i pochyliła się nad nimi, z tak skupionym wyrazem twarzy, że Ham zaczął się zastanawiać, co też mogła wyczytać z tych mglistych i pełnych cieni zapisów. Dostrzegł, albo wydawało mu się, że dostrzegł, w jej oczach dziwny rozbłysk satysfakcji, i poczuł prawdziwą ulgę, że odkrycie to, przynajmniej jej nie zaniepokoiło.

– No i co o nich myślisz? – spytał z ciekawością.

Uśmiechnęła się tylko i nic nie odpowiedziała.

Ewidentnie obawy Hama odnośnie Patrici, okazały się ze wszech miar źle umiejscowione. Kolejne dni mijały, bez żadnych poważniejszych wypadków. Cullen analizował i rejestrował swoje próbki, oraz wykonywał niezliczone testy zielonkawej atmosfery Urana. Ham wykonywał

wielokrotnie powtarzane badania standardowymi odważnikami, a w wolnych chwilach sprawdzał silnik reakcyjny, od którego zależało przetrwanie *Gai* i ich życie. Patricia natomiast zbierała i klasyfikowała okazy biologiczne, bez najmniejszego nieprzewidzianego wydarzenia.

Harbord oczywiście nie miał nic do roboty, dopóki rakieta nie zanurzy się po raz kolejny w pustce kosmosu, tak więc służył jako kucharz oraz generalnie jako człowiek od wszystkiego –– stosunkowo łatwe zadanie, polegające przede wszystkim na otwieraniu puszek i wyrzucaniu śmieci.

Czterokrotnie *Gaja* wznosiła się w powietrze, pokonując drogę przez wieczne mgły, do nowego miejsca postoju, w którym stała dopóki Ham i Patricia nie przebadali kolejnego tysiącstopowego koła. A gdzieś w wiszącej nad głowami szarości, Saturn przeszedł przez punkt koniunkcji, mijając wolniej poruszającego się Urana i zaczął się oddalać. Pozostawało coraz mniej czasu, każda godzina oznaczała dodatkową odległość do pokonania w drodze powrotnej.

Po piątej zmianie miejsca, Harbord wyznaczył ograniczenie długości ich pobytu.

– Nie więcej, niż jeszcze pięćdziesiąt godzin – ostrzegł. – Chyba że macie zamiar spędzić tutaj następne czterdzieści lat.

– No cóż, tutaj nie jest dużo gorzej niż w Londynie – zauważył Ham, naciągając swój wyjściowy ubiór. – Chodźmy, Pat. To będą nasze ostatnie spojrzenia, na śliczne krajobrazy Urana.

Wyszła za nim na dwór i czekała aż umocuje drut wskazujący drogę powrotną do rakiety, a potem przywiąże jej do pasa jedwabną linkę.

– Chętnie bym jeszcze raz rzuciła okiem na naszych przyjaciół z tej łańcuchowej bandy – poskarżyła się. – Mam pewien pomysł i chciałabym go sprawdzić.

– Mam nadzieję, że nie będziesz miała takiej okazji – chrząknął. – Jeden rzut oka, jak dla mnie, w zupełności wystarczył.

Gaja zniknęła we wiecznej mgle. Dookoła nich postaci we mgle migotały i wykrzywiały się w grymasach, tak jak to zawsze robiły, od czasu ich pierwszego pojawienia się, ale żadne z nich nie zwracało już na nie najmniejszej uwagi. Przyzwyczajenie usunęło wszelkie ślady obawy.

Teren usiany był małymi, kamienistymi górkami, i Patricia oddalała się to w tą, to w tamtą, na całą długość linki, zbierając, badając, odrzucając, bądź pozostawiając, rzadkie okazy uraniańskiej flory. Większość czasu była poza zasięgiem wzroku i słuchu, ale łączący ich sznur dawał mu dowód, że była bezpieczna.

Ham pociągnął za niego z niecierpliwością.

– Jak przeprowadzanie szczeniaka obok rzędu drzew! – warknął, kiedy w końcu się pokazała. – Koniec przewodu! – zawołał. – Wracamy po kółku i z powrotem.

– Ale tam coś jest, kawałek dalej! – krzyknęła. Dzięki zasięgowi linki, mogła zajrzeć dodatkowe pięćdziesiąt stóp w mrok. Coś tam rośnie, tuż poza zasięgiem… coś nowego! Chcę to zobaczyć.

– Do diabła, nie możesz. To jest poza zasięgiem i już. Możemy trochę przedłużyć przewód, i przyjść tutaj z powrotem, aby się temu przyjrzeć.

– Och, to tylko kilka stóp. – Odwróciła się. – Odwiążę linkę, obejrzę to sobie i zaraz wrócę.

– Nie – ryknął. – Pat! Wracaj do mnie!

Pociągnął mocno za sznur. Cichy okrzyk sprzeciwu przebił się przez mgłę, a potem, zupełnie nagle, linka zawisła luźno w jego dłoniach. Ona się odwiązała!

– Pat! – zaryczał. – Wracaj! Mówię ci, wracaj tutaj!

Zabrzmiała jakaś stłumiona odpowiedź, całkowicie niesłyszalna. Potem zapadła kompletna cisza. Krzyknął ponownie. Otaczająca wszystko mgła, zdusiła jego głos, nawet w jego własnych uszach. Odczekał chwilę, a potem powtórzył wezwanie. Nic, żadnych dźwięków, poza szelestem mgielnych postaci.

Znalazł się w desperackiej sytuacji. Po kolejnej chwili, zaczął strzelać z rewolweru w powietrze. Wystrzelił wszystkie dziesięć nabojów w krótkich odstępach czasu. Nasłuchiwał, a następnie wystrzelał kolejny magazynek, bez żadnego odzewu z nieruchomej, usianej ołowianymi cieniami mgły. Zaklął ze złością, na głupotę dziewczyny, na swoją bezradność i na powykrzywiane w grymasach kształty we mgle.

Musiał coś zrobić. Wracać na *Gaję* i wysłać Harborda i Cullena na poszukiwania. Ale to byłaby strata cennego czasu. Z każdą chwilą Patricia mogła błądząc we mgle, coraz bardziej się oddalać. Wymamrotał pod nosem jakieś zdanie, które mogło być zarówno przekleństwem, jak i modlitwą, wyciągnął z kieszeni ołówek i kawałek papieru, oraz pośpiesznie napisał na nim wiadomość: „Pat się zgubiła. Przynieście dodatkową szpulę i dołączcie do przewodu. Chodźcie po okręgu poszukując mnie. Będę próbował pozostać w obrębie promienia o długości dwóch tysięcy stóp."

Przyczepił kartkę do końca druta, przycisnął kamieniem, a potem pociągnął trzy razy za przewód, aby wezwać pozostałą dwójkę z *Gai*. Potem celowo się odwiązał i zanurzył się bez wskazującego powrotną drogę przewodnika, we mgłę,

---

Nie wiedział nawet jak długo szedł, i jak daleko się znalazł. Mgielne postaci przez cały czas bełkotały i drwiły sobie z niego. Skraplająca się para zbierała mu się na twarzy i woda skapywała mu z nosa oraz podbródka, a mgła napierała na niego ze wszystkich stron. Krzyczał, strzelał z pistoletu, a nawet gwizdał, mając nadzieję, że ostrzejsze dźwięki mogą lepiej się roznosić, Zygzakował w jedną i w drugą stronę, wokół swojej trasy. Z pewnością, pomyślał sobie, Patricia miała na tyle rozumu, aby nie odejść. Z pewnością, dziewczyna wychowana w Tropikach na Wenus, wiedziała, że właściwym sposobem postępowania w przypadku zagubienia się, jest pozostawanie w jednym miejscu, aby błądząc nie oddalić się jeszcze bardziej od bezpiecznej pomocy.

Teraz Ham również kompletnie się zagubił. Nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie może znajdować się *Gaja*, ani w jakim kierunku położony był przewód wskazujący do niej drogę. Raz za razem wydawało mu się, że dostrzega srebrzyste włókno oznaczające bezpieczeństwo, ale za każdym

razem był to tylko błysk wody, albo ciemno połyskujące kamienie. Poruszał się pod odwróconą czaszą mgły, która blokowała widok we wszystkie strony.

W końcu uratowało go osłabienie i zmęczenie zagubionego człowieka. Po kilku godzinach pozbawionego nadziei krążenia we mgle, potknął się –– dosłownie potknął się –– o przewód. Zatoczył pełny krąg. Nagle obok niego wyłonili się z mgły Harbord i Cullen, związani razem jedwabną linką. Wysapał z trudem:

– Czy, wy… czy…

– Nie – posępnie odparł Harbord, a jego pomarszczona twarz wyglądała na ponurą i zmęczoną. – Ale znajdziemy. Znajdziemy.

– Posłuchaj – zaproponował Cullen, – dlaczego nie pójdziesz na statek i nie odpoczniesz. Przypilnujesz wszystkiego ze środka, a my będziemy szukać dalej.

– Nie – z uporem stwierdził Ham.

Harbord zachował się niespodziewanie delikatnie.

– Nie martw się – powiedział. – Ona jest rozsądną dziewczyną. Będzie czekać w jednym miejscu, dopóki jej nie znajdziemy. Nie mogła przecież odejść cały tysiąc stóp poza koniec przewodu.

– Chyba że – odpowiedział nieszczęśliwym tonem Ham, – została zepchnięta dalej… albo uprowadzona.

– Znajdziemy ją – powtórzył Harbord.

Ale dziesięć godzin później, kiedy już obeszli Gaję w kółko, w kilkunastu różnych odległościach, stało się oczywiste, że Pat nie ma wewnątrz kręgu wyznaczanego przez ich przewód o długości dwóch tysięcy stóp. Setki razy podczas tego trudnego do zniesienia krążenia, Ham musiał walczyć z impulsem odwiązania się od przewodu, aby wysondować teren troszeczkę dalej, w głębi zwodniczej mgły.

Mogła przecież siedzieć wyczerpana tuż poza zasięgiem wzroku oraz słuchu, albo mogła leżeć ranna, o lekki rzut kamieniem na zewnątrz kręgu, a oni nigdy się tego nie dowiedzą. Ale pozostawienie jedynego przewodnika, wskazującego drogę do bazy, było czymś niewiele tylko lepszym niż samobójstwo, i czymś więcej niż czystym szaleństwem.

Kiedy doszli do stosu kamieni, którym Cullen na wszelki wypadek oznaczył punkt startowy ich poszukiwań, Ham przerwał je.

– Wracamy na statek – ponuro rozkazał. – Przesuniemy go cztery tysiące stóp w tym kierunku, i zaczniemy znowu krążyć wokół niego. Pat nie mogła zbłądzić więcej niż o milę, od miejsca w którym straciłem z nią kontakt.

– Znajdziemy ją – ponownie powtórzył Harbord.

Ale nie znaleźli. Po daremnych, wyczerpujących poszukiwaniach, Ham polecił przestawić Gaję w miejsce, z którego okrąg wyznaczany przez ich przewód, stykałby się z dwoma wcześniej już przebadanymi kołami, i w ponurych nastrojach zaczęli ponownie.

Od czasu zniknięcia dziewczyny minęło trzydzieści jeden godzin, i cała trójka była już bliska całkowitego wyczerpania. Jako pierwszy poddał się Cullen, i ze zmęczeniem ruszył po omacku w drogę powrotną na statek. Kiedy pozostała dwójka wróciła na niego, aby przesunąć bazę w nowe

miejsce, znaleźli go śpiącego w ubraniu, nad na wpół opróżnioną filiżanką kawy.

VI

Godziny powoli zmieniały się w wieczność. Saturn nieustannie coraz bardziej wyprzedzał mglistą planetę, spokojnie zmierzając ku ich następnemu spotkaniu za czterdzieści lat. Harbord nie powiedział nawet słowa, odnośnie mijającego czasu. To Ham poruszył ten temat.

– Posłuchaj – oznajmił, kiedy Gaja schodziła po skosie na swoją nową pozycję. – Czasu jest mało. Nie chcę abyście wy również zostali tutaj uwięzieni. Tak więc, jeżeli nie znajdziemy Pat na tym obszarze, ty i Cullen macie stąd odlecieć. Czy zrozumiałeś?

– Zazwyczaj rozumiem po angielsku – odparł Harbord. – Ale nie tego rodzaju słowa.

– Nie ma powodu, abyście wy dwaj również musieli tutaj zostawać. Ja zostaję. Wezmę naszą część żywności, całą broń oraz amunicję, i zostanę.

– Eee, tam! – warknął Harbord. – A co tam jakieś czterdzieści lat. – Skończył już sześćdziesiątkę.

– Rozkazuję wam, abyście odlecieli – spokojnie powiedział Ham.

– Kiedy oderwiemy się od powierzchni, przestajesz dowodzić – chrząknął drugi z mężczyzn. – Zostajemy. Znajdziemy ją.

Ale zaczynało to wyglądać zupełnie beznadziejnie. Cullen obudził się i dołączył do nich, kiedy zanurzyli się w nieskończone morze mgieł. Rozstawili się na swoich miejscach wzdłuż przewodu, w odstępach co sześćdziesiąt cztery stopy. Ham zajął najbardziej zewnętrzną pozycję, a potem rozpoczęli niekończącą się mozolną wędrówkę przez mgłę.

Dochodził już z wolna w pobliże punktu załamania. Od czterdziestu godzin nie spał, ani nic nie jadł, poza pośpiesznym łykiem kawy i kawałkiem czekolady, kiedy przestawiali Gaję. W jego zmęczonych oczach mgielne postaci zaczęły przyjmować coraz dziksze kształty i zdawały się wyrastać coraz bliżej niego, wyszczerzając się w coraz bardziej złośliwych uśmiechach.

Tak więc, kiedy po pokonaniu jednej czwartej drogi po obwodzie koła, dostrzegł w ciemnościach coś nieco bardziej gęstego niż mgielne kształty, musiał zamrugać powiekami i przymrużyć oczy, żeby dobrze się temu przyjrzeć.

Szarpnął raz za przewód, aby zatrzymać Harborda i Cullena, i zaczął usilnie wpatrywać się we mgłę. Dobiegały stamtąd również jakieś odgłosy –– cichy, jednostajny szum, zupełnie odmienny od niesamowitych szmerów mgielnych postaci. Ostro drgnął, ponieważ usłyszał jeszcze jeden dźwięk, trudny do opisania, stłumiony, ale z całą pewnością fizyczny dźwięk. Szarpnął trzy razy za przewód, co powinno wezwać jego towarzyszy.

Podeszli do niego i pokazał im ciemniejszy kłąb.

– Damy radę tam dotrzeć – zasugerował, – jeżeli zwiążemy razem parę linek. Dwie powinny w zupełności wystarczyć.

Ostrożnie poruszali się poprzez mgłę. Coś… coś tam się poruszało. Skradali się w zupełnej ciszy, pięćdziesiąt stóp, sześćdziesiąt. I nagle Ham uświadomił sobie, że widzi łańcuch utworzony przez gromadne stworzenia –– ewidentnie ogromny łańcuch, ponieważ ciągle przesuwał się przed ich oczyma. Zatrzymał się więc w całkowitym przygnębieniu, wpatrując się przed siebie pozbawionym nadziei wzrokiem. Potem, bardzo powoli, ruszył załamany z powrotem w stronę przewodu.

Nagle zmroził go dźwięk –– ostry dźwięk. To brzmiało jak kaszel!

Rzucił się z powrotem. Nie zważając na znajdujący się tuż przed nim rząd niebezpiecznych zwierząt, zawołał:

– Pat! Pat!

Spadający kamień z serca i ulga! Cieniutki, cichy głos zawołał drżąco z drugiej strony linii.

– Ham! Och, Ham!

– Czy… czy ty… jesteś bezpieczna?

– T-tak.

Znalazł się niemal przy samym rzędzie przechodzących zwierząt. Z drugiej strony, blada niemal jak sama mgła, stała Patricia, nie więcej niż dziesięć stóp od niego.

– Dzięki Bogu! – wymamrotał. – Pat, kiedy ten łańcuch już przejdzie, biegnij prosto do mnie. Nie rusz się nawet krokiem w bok –– nawet na krok!

– Przejdzie? – zadrżała. – Och, on nie przejdzie. To nie jest rząd. To jest krąg!

– Krąg! – Zaświtało mu zrozumienie. – Krąg! A więc jak… jak my cię stamtąd wydostaniemy? Nie możemy go przerwać, bo… – Zamilkł. W obecnej chwili ta dziwaczna parada pozbawiona była przywódcy, bezradna, ale gdyby została przerwana w jakimś miejscu, zmieniłaby się natychmiast w dzikie, żądne krwi stworzenie… i mogłaby zaatakować dziewczynę. – Boże – sapnął.

Harbord i Cullen stali koło niego.

– Słuchajcie – rzucił ostro. Złapał wolny kawałek linki. – Przedostanę się przez nie. Stańcie blisko tego kręgu.

Wdrapał się im na ramiona. Z tej wysokości, może zdoła przeskoczyć stworzenia. To mogło się udać.

Tak też się stało, chociaż po tym wyczynie Cullen i Harbord zajęczeli pod naciskiem stu osiemdziesięciu funtów jego urańskiej wagi. Poświęcił tylko chwilę na przytulenie do siebie Pat, groźba tych krążących dookoła potworów, była zbyt przytłaczająca.

Przerzucił koniec linki do dwójki czekającej na zewnątrz kręgu.

– Pat, czy dasz radę przeciągnąć się po linie nad nimi, jeżeli przytrzymamy ją dostatecznie wysoko?

Dziewczyna wydawała się być na skraju wyczerpania.

– Oczywiście – wymamrotała.

Pomógł jej złapać linkę łokciami i kolanami. Powoli, z wykrzywioną z bólu twarzą, przeciągnęła się cal po calu, w podobny sposób jak robi to południowoamerykański leniwiec nadrzewny. Ham przeżył jedną straszliwą chwilę grozy, kiedy zakołysała się niebezpiecznie, bezpośrednio nad

samym rzędem stworzeń, ale udało jej się przedostać, i spadła bezwładnie prosto w czekające już na nią ramiona Harborda.

Potem krzyknęła:

– Ham! A jak ty się przez nie przedostaniesz?

– Przeskoczę odbijając się od nich – błysnął pomysłem.

Nie tracił nawet chwili czasu na zastanawianie się. Zebrał wszystkie siły, jakie pozostały w jego ciele, cofnął się aby wziąć krótki rozbieg i pokonał sześciostopową barierę krążącej śmierci, dotykając tylko leciutko palcami czarnego, szerokiego grzbietu.

Patrycja z trudem podniosła się na nogi i przytuliła się do niego. Przycisnął ją mocno przez chwilę, a potem wyznał ochrypłym głosem:

– Boże! Gdybyśmy cię nie znaleźli…

– Ale dokonałeś tego! – wyszeptała. Nagle zaczęła się histerycznie śmiać, a odgłos śmiechu przerywany był przez dławiący kaszel. – Tylko co tak długo cię zatrzymywało! Spodziewałam się ciebie dużo wcześniej! – Wpatrywała się dzikim wzrokiem w rząd krążących zwierząt. – Zrobiłam im zwarcie! Spięłam im… mózgi!

Upadła bezwładnie na niego. Wziął ją bez słowa na ręce i ruszył za Harbordem i Cullenem wzdłuż przewodu, zmierzając z powrotem na Gaję. Za nimi, krążąc bez końca w pętli, pozostał łańcuch skazanych na zagładę stworzeń.

Uran stał się już jedynie pokrytą pasami zieloną kulą, unoszącą się gdzieś za nimi, poza smugami płomieni odrzutu tylnich silników, a Saturn był jaskrawą niebieską gwiazdą, położoną nieco na lewo w stosunku do gwałtownie świecącego Słońca. Patricia, której kaszel już mocno zelżał w klimatyzowanym wnętrzu Gai, leżała leniwie wyciągnięta w fotelu obrotowym, i uśmiechała się do Hama.

– Wiesz – powiedziała, – po tym, jak odwiązałam się od liny… Poczekaj! Nie dawaj mi kolejnego wykładu na ten temat!… Zrobiłam zaledwie kilka kroków w tę mgłę, i wtedy, po tym wszystkim, okazało się, że te rośliny które widziałam, to były te same zygzaki, nazwane przeze mnie cryptogami urani. Ruszyłam z powrotem, ale ciebie nie było.

– Nie było? Nie ruszyłem się nawet krokiem.

– Nie było cię – powtórzyła, nie zbita z tropu. – Przeszłam kawałek, a potem zaczęłam krzyczeć, ale krzyki po prostu tłumiło. A potem usłyszałam strzały, z zupełnie innego kierunku, i ruszyłam w tamtą stronę. I nagle z mgły wynurzyła się ta łańcuchowa banda!

– I co zrobiłaś?

– A co mogłam zrobić? Były za blisko, żebym nawet zdążyła wyciągnąć broń, a więc uciekłam. One biegają szybko, ale ja również, tak wiec udawało mi się utrzymywać przed nimi, dopóki nie zaczęłam tracić tchu. Wtedy odkryłam, że jeżeli szybko odskoczę w bok, to mogę zejść im z drogi. One nie potrafią skręcać zbyt sprawnie. Udawało mi się tak przez kilka minut, chociaż ta oślepiająca mgła powodowała, że w każdej chwili mogłam się o coś potknąć. I wtedy spłynęło na mnie olśnienie!

– Zdecydowanie go potrzebowałaś – wymamrotał pod nosem.

Zignorowała go.

– Czy pamiętasz, jak mówiłam ci o Fabre i jego badaniach nad sosnowymi gąsienicami procesyjnymi? Tak więc, jeden z jego eksperymentów polegał na poprowadzeniu procesji dookoła ścian wielkiej donicy ogrodowej po zamkniętym kręgu! Pozbył się przywódcy, i wiesz co się stało?

– Mogę się domyślić.

– Masz rację. Bez przywódcy, ten krąg po prostu obracał się dookoła, przez całe godziny, dni, nie wiem nawet jak długo, dopóki jedna z gąsienic nie padła z wyczerpania, a przerwa wytworzyła nowego przywódcę. I nagle przypomniałam sobie ten eksperyment, zabrałam więc się za jego powtórzenie. Odskoczyłam na bok, i pobiegłam do tyłu, w stronę końca procesji, a jej początek ruszył za mną!

– Rozumiem! – wymamrotał Ham.

– Tak. Zamierzałam stopniowo zamknąć krąg i odskoczyć na zewnątrz, ale coś poszło nie tak. Udało mi się dopaść końca, ale byłam już taka zmęczona, że potknęłam się, czy coś takiego. Następna rzecz jaką pamiętam to, że leżałam na ziemi, a stopy tych stworzeń waliły tuż obok mojej twarzy. No i byłam wewnątrz kręgu.

– Prawdopodobnie zemdlałaś z wyczerpania.

– Nigdy nie mdleję – oświadczyła Patricia z godnością.

– Zemdlałaś, kiedy cię stamtąd wyciągnąłem.

– To – odparła, – był po prostu przypadek zaśnięcia po czterdziestu godzinach bez snu i bez jedzenia. Omdlenie, albo utrata przytomności, to zupełnie co innego, i jest skutkiem niedostatecznego dopływu krwi do mózgu…

– No dobrze – przerwał jej Ham. – Jeżeli omdlenie wymaga mózgu, to ty oczywiście nie mogłaś zemdleć. Idźmy dalej.

– No cóż – ze spokojem wróciła do tematu, – i tak to właśnie było. Oczywiście, mogłam przerwać krąg strzałem, ale to by spowodowało ponowny atak, a ponadto nie miałam najmniejszego pojęcia, gdzie jest *Gaja*. A więc siedziałam tam, i tak to trwało przez tydzień, dziesięć dni, czy miesiąc…

– Czterdzieści godzin.

– A mgielne postaci nieustannie szemrały ponad rzędem kiełbasianych stworzeń, nieustannie migotały, szeleściły i szeptały, tak że już myślałam, że oszaleję. To było straszne… Nawet wiedząc, czym one są, to było straszne!

– Wiedząc co… Czy wiesz czym one są?

– Wymyśliłam całkiem niezłe wyjaśnienie. Prawdę mówiąc, to miałam już pewne podejrzenia, zaraz jak tylko zobaczyłam te podczerwone fotografie Cullena.

– A więc, co to za diabelski pomiot?

– No cóż, widzisz, miałam dobrą okazję, przebadać z bliskiej odległości to stworzenie łańcuchowe, i muszę powiedzieć, że nie są to stworzenia doskonałe.

– Ja też bym tak twierdził!

– Chodziło mi o to, że one nie są w pełni rozwinięte. Prawdę mówiąc, to one są larwami. I uważam, że mgielne postaci, są ich formami dorosłymi. To właśnie dlatego mgielne postaci prowadziły te stworzenia do nas. Nie rozumiesz tego? Łańcuchowe stworzenia są ich młodymi. To tak samo jak gąsienica i ćma!

– No dobrze, to jest możliwe, ale co z tymi niesamowitymi twarzami mgielnych postaci, oraz z ich zdolnością do zmiany wielkości?

– One nie zmieniają wielkości. Pomyśl tylko, światło w tej części Urana pada bezpośrednio z góry, co nie? A więc, wszystkie cienie rzucane są prosto w dół, to oczywiste. I właśnie to widzieliśmy. Wszystkie te migoczące, przeskakujące stada gargulców, były tylko cieniami stworzeń unoszących się w górze, latających stworzeń, rzucanymi na mgłę. To właśnie dlatego mgielne postaci rosły, kurczyły się, zmieniały kształty. To były tylko cienie, podążające za jakimiś skrzydlatymi stworzeniami, które latały w górę, w dół, dookoła. Zrozumiałeś teraz?

– To brzmi wiarygodnie. Tak właśnie napiszemy w raporcie, i za osiemdziesiąt lat, kiedy północna część biegunowa Urana odwróci się znowu w kierunku światła słonecznego, ktoś może tam polecieć i sprawdzić tę teorię. Może ich pilotem będzie Harbord. Co Harbord? Jak myślisz, miałbyś ochotę ponownie odwiedzić to miejsce, za osiemdziesiąt lat?

– Nie z babą na pokładzie – chrząknął astrogator.

KONIEC